

NASZA POWIEŚĆ

ROK XXIII

WARSZAWA, DNIA 25 KWIETNIA 1931 ROKU

NR. 17

ANDRZEJ STRUG

17)

OSTATNI FILM EVY EVARD

— Sobą? Od roku tępię w sobie moją kniaziowską przeszłość, pańskie nawyczki, głupie manjery, grzeczne słowa, tę całą obłudę, którą wyniosłem z domu rodzicielskiego. Ale to jeszcze głupstwo. Trudniej wyżyłować ze siebie jad arystokratycznej tak zwanej kultury — naprzykład głupi przesąd jakiegoś honoru. Albo średniowieczne pojęcia o czci dla kontrrewolucyjnych rodziców. Czy pani wie, że kiedy wyprowadzano na rozstrzelanie mojego ojca, nie mogłem się opanować i odwróciłem się, żeby nie patrzeć? Słyszę, mówi ojciec: — Żegnaj Serge, mój jedyny synu. W ostatniej mojej godzinie zdejmuję z ciebie ojcowskie przekleństwo, żyj, jeżeli zdołasz... I czy pani sobie wyobrazi, że słysząc to potajemnie uczułem ulgę, że nie ciąży już nademną ojcowskie przekleństwo?

— A cóż się stało z ojcem?!

— Oczywiście zaraz go rozstrzelali. To był uporczywy białogwardzista, generał lejtenant świty Jego Cesarskiej Mości.

— Ależ pan jest straszny człowiek! Potwór! Ile pan ma lat?

— Za miesiąc skończę dziewiętnaście lat — ale w ciągu tego roku przeżyłem conajmniej ze dwadzieścia. Pani mówi — potwór... Terminologia burżuazyjna — my bolszewicy nie znamy sentymentów, mamy na głowie większe kłopoty, niż płakać po rozstrzelanych wrogach, choćby to był rodzony ojciec.

— A co się dzieje z pańską matką?

— Matkę i starszego brata zamordowali chłopcy przy generalnym pogromie szlacheckiego obszarnictwa.

— I cóż pan na to?

— Nic, rzecz jest w porządku. Chłop zabiera ziemię, która mu się należała od całych stuleci, a obszarnika-gnębiciela likwiduje się przytem, jako klasę już zbędną gospodarczo i socjalnie.

— Więc zamordowano panu rodziców, brata i zabrano cały majątek rodowy, zapewne duży?

— Dwadzieścia folwarków nad Wołgą i na Ukrainie, trzy cukrownie, pięć domów w Piotrogradzie i pałac w Moskwie, no i kapitały, akcje i tym podobne papiery. W Berlinie w banku ojciec złożył kiedyś w depozycie na wszelki wypadek około pół miliona marek, teraz towarzysz Joffe, nasz poseł, z trudem wydobywa te pieniądze, formalnie dla mnie jako dla jedyne go spadkobiercy i ja je pokwituję, ale ta suma jest zgóry przeznaczana na rewolucję w Niemczech i właściwie tylko po to mnie tu sprowadzono.

— I panu nie żal tych pieniędzy?

— Nie uznaję prywatnej własności, zresztą pieniądze mi są zupełnie niepotrzebne.

— Pominawszy inne rzeczy, tudzież rozkosze życia i zbytek, one dają człowiekowi niezależność, swobodę.

— Mnie nie trzeba żadnej indywidualistycznej swobody, a robotnik rewolucji musi być w ciągłej zależności od masy, inaczej cierpi na tem zrzeszona praca.

— Cóż pan robi w tych pracach rewolucji? W pańskim wieku trzeba się jeszcze uczyć?

— Nie czas na naukę, trzeba naprzód umocnić władzę sowietów i obronić ją od mnóstwa wrogów wewnętrznych, no i od rządów kapitalistycznych całego świata. Pracowałem dotąd na odcinku kontrrewolucji...

— Ale pan chyba nie mordował ludzi?

— Mordować, nie mordowałem, ale owszem, w sądach ludowych nieraz skazywałem białogwardzistów. Nieraz też wykonywałem wyroki śmierci.

— Jakto? Pan, własną ręką?!

— Dlaczegożby nie? Wszak to tylko normalna funkcja samoobrony rewolucji. Jedni pracują w oświacie, w propagandzie, w opiece nad dzieckiem robotniczym, inni w odrodzeniu moralnem proletariatu, reszta służy na różnych stanowiskach państwowych, a ja obrałem sobie odcinek naszej Nadzwyczajnej Komisji, tak zwanej u nas Cze-Ka, bo w niej jest jedyna obrona rewolucji i osłona wszystkich jej prac i zamiarów.

— Pan żartuje, pan nie mógł własną swoją ręką...

— Ależ tak! I to nie raz, może nawet dużo więcej, niż sto razy, ktoby zliczył... Z początku, przyznam, było mi trudno, przeszkadzały nerwy, różne przesady... Ale postanowiłem się przezwyciężyć. Teraz egzekucje nie sprawiają na mnie wrażenia, strzelam we łby, jak automat.

— Ależ pan jest wstrętny! Pan się lubuje we krwi, w morderstwach, jak sadysta!

— Co do tego, myli się pani, nie sprawia mi to żadnej przyjemności.

— Ale się w panu dusza nie wzdryga na te rzeczy i to jest okropne!

— Dusza... Pani jeszcze wierzy w tak zwaną duszę — w tę iskrę boskości w człowieku, nieomylną i nieśmiertelną? We mnie jedyna dusza to moja rewolucyjna świadomość. Od zeszłorocznej rewolucji październikowej powstała nowa proletariacka etyka...

— Nienawidzę pańskiej etyki i mam już dość

tych moskiewskich okropności. Proszę sobie iść, żegnam... Brzydzą się panem.

— — — — —
W końcu kwietnia generał von Sittenfeld czytał następujący raport:

— Wydział służbowy N. 6, sekcja C, agencja B. B., agent raportujący odpowiedzialny H. I. M. 139.

— Za ubiegły tydzień 20—27 kwietnia ustalono: Eva Evard przyjmuje codziennie odwiedziny członka legacji sowieckiej księcia Sergieja Uchmatowa, młodego człowieka wysokiego wzrostu, urodziwego, w wieku lat około dwudziestu. Odwiedziny rozpoczynają się około 8-ej i trwają do północy. Naza jutrz po rozpoczęciu obserwacji E. E. przeniosła się z domu wdowy po pułkowniku, baronowej Steth von Schulzburg, Keithstrasse 8, do Hotelu „Windsor“, Behrenstr. 64/65, gdzie zajęła apartament N. 43, złożony z dwóch pokoi z łazienką. W dniach 23, 25, 26 kwietnia wyżej wymieniony U. spędził u E. E. całą noc aż do godziny 10—11 rano. W godzinach poobiednich od godz. 5—7 E. E. przyjmowała następujących gości: dnia 21-go redaktora Max Edelinga od 5.45 do 7.15, posła Noodta 5.30—6.15, kapitana lotnika o nieustalonym nazwisku, szczupły, niski brunet o kulach. Dnia 22-go wyszła z domu o godzinie 10 rano, była w biurach Mundus-Filmu do godz. 11-ej. Wstąpiła do dwóch sklepów na Unter den Linden i tamże do księgarni, gdzie zakupiła rozkład pociągów. W magazynie konfekcji męskiej Braci Martens zakupiła dwie jedwabne pyjamy...

Dalej generał nie mógł czytać.

IV.

Strach...

Wypełzał niewiadomo skąd i snuł się po świecie, jak subtelny, niedostrzegalny gaz, szerzył niepokój, budził widma nadchodzącego nieszczęścia. Każde jutro stawało się niepewne. Co rano gorączkowo przerzucano szeleszczące płachty i szukano w dziennikach złej nowiny. Oczekiwali jej wszyscy, wszędzie. Tajemniczy strach nie zna granic, frontów, narodów, przebiega ziemię, jak wichur. Nie zna prawych ani grzesznych, przyjaciół ani wrogów.

Nikt mu się nie oprze, każdy go odczuje po swemu. Krąży wśród znękaney rzeszy ludzkiej w pogłoskach, w legendach, w potwornych plotkach. Nikt im nie daje wiary, ale każdy chwytą je chciwie i nie się dalej. Nikt im nie zaufa, ale już dawno zatraciły się miary, którymi dzielono prawdę od złudy. Ten czas był jak przysniony, świat uczynił się fantastyczny, ktoś mógł osądzić, co było możliwe, co niemożliwe? Więc i najgrubsza plotka-pleciuga miała swoje znaczenie, po niedługiej rozwadze odrzucał ją człowiek rozumny, ale już się o nią otarł, pomyślawszy nad głupstwem bodaj przez jedną chwilę, już skaził wyobraźnię. Opowieści szalone, nowiny niesłychane trzymały się mocno, uporczywie w nizinach społecznych, w najciężej udręczonej masie. Mimo absurdu swego żyły one, a przechodząc z ust do ust obrastały w szczegóły, w imiona, w daty, przetrwarzały się w dokumenty i biegly dalej. Były krzyżującym fałszem, a jednak nawet w swoim spotworniałym wyrazie niosły one drobny okrucieństwo jakiejś dalekiej strasznej prawdy o sprawach wojny, tajonych rozmyślnie przez mocnych tego świata. Nieufność, podejrzenie, posąd zapuściły korzenie głęboko. Wszystko jest nie tak, jak piszą po gazetach! Kłamia komunikaty — lęgają po dwa razy na dzień!

Rządy wojskowe, cenzura wojskowa płodziły

substrat prawdy — wieści szeptane, dziwolągi. One to z ciepłem i słońcem tej nowej wiosny rozpleniły się bujnie, zachłannie, jakgdyby w nich ożył i wschodził tajemny posiew wszystkich czterech lat wojny. Nigdy w te lata nie brakowało bajek, pogłosek, słuchów — ale teraz...

Ruszyła do ataku propaganda oficjalna. Wojskowe biura informacyjne, agencje prasowe urzędowe, półurzędowe gazety zaczęły olbrzymią kampanię kłamstw dla otuchy i podniesienia struchlałych serc. Zwalczano panikę wypróbowanym argumentem, przerzucając winę za demoralizujące pogłoski na intrygi i podszepty nieprzyjaciela i jego tajnych agentur. Szerzono fantastyczne wieści o stratach i klęskach strony przeciwnej, o głodzie, nędzy, o upadku ducha, o masowych strajkach, o buntach w armii, o rewolucjach. Po tamtej stronie czyniono to samo, ale i tu i tam zawodziły już stare sposoby, albowiem wypełniły się czasy i przebrała się miara cierpienia i cierpliwości. Wszystko trwało jeszcze w poddaństwie i w posłuszeństwie, ale w głębi już buntowały się dusze.

Strach przed jutrem przenikał przez szczelnie zawarte i strzeżone drzwi wspaniałych gmachów i wciskał się do tajemnych gabinetów, gdzie panowali władcy narodów, monarchowie, rządy, naczelni wodzowie. Nie było wyżyny, której by nie dosięgnął.

Tuż przed końcem nadchodziła godzina porachunku i czekał straszny sąd. I tam na szczytach czaiła się panika, a gdy rozszałe się i pewnego dnia wybuchnie, ktoś będzie rządzić wojną? Kto ją doprowadzi do końca? Kto utrzyma na wodzy wzburzone masy, kto zatrzyma żołnierza w okopach? Widmo Rosji, płonącej straszliwym pożarem, nękało wyobraźnię, rzucało popłoch. Purpurowa łuna dalekiej rewolucji świeciła w oczy władcom Europy i zatrzymywała ich noce. Uginali się ludzie mocni pod ciężarem władzy, siwieli, starzeli się, jakgdyby te dni liczyły się na lata, znikali z powierzchni coraz to inni mężowie stanu, zdmuchnięci przez mroźny pęd wiejący od straszego jutra. Na ich miejsce, przez intrygę, przez protekcję, przez przypadek stawiali nowi ludzie, mądrzy lub niemądrzy, mocni lub słabi lub wreszcie żadni i porali się z chaosem, niebacznici na to, że oni, ludzie końca, będą sądzeni surowiej, niż ci z przed czterech lat, którzy zaczynali wojnę.

Strach...

Rozpętana burza trwała wciąż, szalała i nie dawała się ani przeczekać, ani poskromić żadnym wysiłkiem woli lub mądrości. Gdy nie może trwać wiecznie, rozumowano pod przymusem logiki, że wreszcie i ona musi się przesilić i ustać. Wówczas ogarniała zgroza na myśl, jak będzie wyglądał świat, gdy po koszmarach tej cztery lata trwającej nocy dziejowej z po za chmur wyjrzy słońce i okaże całą prawdę nowego dnia.

Stały jeszcze murem linie frontów, pod naporem jednej lub drugiej strony wyginały się w fantastyczne skrzyty, wydłużały się, skracały się, pękały na chwilę, ale wnet tysiące i tysiące trupów zamykały rozwartą szczerbę. Tak było zawsze, ale o tej porze zużyte już były dawno i pogrzebane w ziemi najcelniejsze siły narodów, to, co przetrwało w okopach, było wysilone ponad ludzką miarę, przerzedzone przez śmierć, przez rany i trudy. Gdzieś na tyłach stały ostatnie, już doprawdy ostatnie rezerwy, a gdy i one z kolei pójda w ogień i za tym razem również nie sprawią przełomu i nie dadzą walnego zwycięstwa — nie zostanie już nic w odwodzie, by podjąć walkę.

(D. c. n.).